Irlandka B.G. MacCarthy (1904-1993) – niezapomniany pedagog



B.G. McCarthy

Florian Śmieja

Małe instytucje nie radzą sobie z indywidualnościami, jeśli kapryśny los je nimi obdarzy. To, co mogło stać się wielką szansą i wybiciem na czoło, nieraz bywa zaprzepaszczane i niedostrzegane a często nawet pomniejszane i zwalczane. Taka była dola, moim zdaniem, Bridget G. MacCarthy, profesora irlandzkiego uniwersytetu w Cork, kobiety nieprzeciętnej.

Napisała ona wybitną książkę, zanim feministki zorientowały się w nośności jej tematu. Była forpocztą, za którą długo nie było następców.

Jeden z dwu artykułów prasowych, jakie się ukazały w rodzinnym mieście autorki z okazji jej śmierci, pióra dziennikarki Mary Leland, zaczyna się mało życzliwie. “Przez lata pocieszałam się przeświadczeniem, że nie uczęszczając na Uniwersytet w Cork, aby studiować filologię angielską, nie miałam B.G.Mac Carthy za profesora.“ Przytoczyła następnie bezkrytyczne, negatywne opinie studentów dodając wprawdzie, że łagodniej o niej wyrażaliby się koledzy po fachu, lecz tym niemniej konkludowała, że “jej okres przeminął nieżałowany w przeszłość, nie wyróżniający się osiągnięciami”.

Tak ją żegnała rodaczka, która jakby ze zdziwionym niedowierzaniem donosiła o wznowieniu zasadniczego dzieła B.G.MacCarthy “The Female Pen” przytaczając niezrozumiałe pochwały edytorki. No, jeżeli B.G.MacCarthy nie miała osiągnięć, to co dopiero powiedzieć o innych wykładowcach jej uczelni?

Jak to się stało, że książka tak ambitna i na czasie nie została doceniona na świecie i pozostała nieznana w Corku? Tu, sądzę, mamy do czynienia z zazdrością zawodową środowiska nie nadążającego za horyzontami autorki, zemsta przeciętności nad talentem i obojętność wojujących feministek na jej osiągnięcia za

odmowę zasilenia ich falangi hałaśliwych aktywistek, za to, że nie szukała sensacji, że była niewyrachowana.

Na jesieni 1947 roku zajechałem do irlandzkiego miasta Cork z gromadką polskich studentów, byłych żołnierzy i cywilów. Byli wśród nich m.in. Wojciech Gniatczyński, Janusz Leszczyński, Ewa Ponińska i Witold Szatkowski, syn Zofii Kossak-Szczuckiej. Zameldowałem się na uniwersytecie, który miał być moją *alma mater* przez trzy lata. Uderzyła mnie niezwykła sytuacja pedagogiczna na uczelni. Na humanistyce cztery katedry filologii łącznie z angielską zajmowały kobiety i to w kraju, który kojarzono z reżimem surowej katolickiej ortodoksji. Choć nie wszystko godne było pochwały, to tak widoczne docenianie intelektu kobiet w owym czasie świadczyło jak najlepiej.

Czterdziestotrzyletnia MacCarthy na katedrze filologii angielskiej znamionowała możliwości, które stały otworem przed młodymi uczonymi.

Urodzona w 1904 roku uzyskawszy licencjat i magisterium w rodzinnym mieście, wyruszyła po doktorat do Cambridge. Napisała rozprawę o Robercie Browningu drukowaną przez London University Press. Natomiast w Cork w 1944 roku wyszła jej książka "The Female Pen" w dwu tomach, historia pisarek języka angielskiego. Młoda Irlandka stała się jedną z wczesnych obrończyń piszących kobiet, choć sprzeciwiała się, by ją

zaliczano do feministek, która upomniała się o docenienie wkładu kobiet w ewolucję powieści angielskiej i domagała się ich równouprawnienia jako pisarek. Te okazałe tomy otrzymałem od niej w podarunku, ale wtedy nie potrafiłem ich docenić, a po latach sprezentowałem je z kolei bibliotece Uniwersytetu w Nottingham, gdzie byłem zatrudniony.

Objąwszy stanowisko profesora w Cork, zdobyła sobie sławę postrachu studentów, bo będąc wybitną uczoną wymagającą wiele od siebie, oczekiwała również sporo od innych, spodziewała się rzetelnego umysłowego wysiłku od swoich słuchaczy. Była znakomitą wykładowczynią, choć miała swoje preferencje. Nie znosiła poezji Byrona. Od niej nabrałem słusznego respektu dla wielkiego talentu narracyjnego Jane Austen.

Mieszkająca z swoją ciotką, ambitna, niezamężna kobieta robiła wrażenie osoby nieprzystępnej. Moim zdaniem, była raczej osamotniona, nie znajdowała w studentach partnerów intelektualnej przygody, wrażliwych towarzyszy estetycznych przeżyć. Kiedy wykładała, tylko echo jej głosu rozlegało się w amfiteatrze wypełnionym onieśmielonymi studentami. Owszem, była wymagająca, ale czekała na respons, na znak rozumienia, nie lubiła niemoty. Przestraszeni słuchacze z kolei przyczyniali się do utrwalenia legendy o nieużytej wykładowczyni. Panująca cisza była dla obu stron przykra. Pamiętam, kiedy raz B.G.

MacCarthy czytała czy raczej recytowała obszerny wczesny pomat angielskiego poety. Kiedy wreszcie skończyła znużona spytała o komentarz. Zapanowała cisza i wtedy odezwałem się przerywając złowieszcze milczenie “Poemat stanowczo za długi”. Przelękłem się spontaniczności i apodyktyczności mojego odezwania się, ale pani profesor z łaskawym uśmiechem przytaknęła i ku zdumieniu słuchaczy zgodziła się ze mną “Niestety. Cierpi na dłużyzny”.

Deklarując się być miłośniczką prozy angielskiej, sama władała znakomitym, klarownym stylem pełnym humoru i nie stroniącym od ciętych, dosadnych sformułowań. I tak, mówiąc o wykształceniu odebranym przez kobiety w czasach patriarchalnego traktowania ich przez mężczyzn, określiła je jako wykształcenie, które kwalifikowało je na żony i matki w tym świecie a na święte w tym lub przyszłym świecie. Widać, że imponowały jej odwaga i szacunek dla siebie bohaterek powieści Jane Austen, ale nie wahała się określić głupiej dziewczyny ”malutkim bezmyślnym zwierzątkiem” i broniła lekkiego potraktowania jej przez autorkę słowami “dlaczego używać dwurącznego miecza, aby ściąć główkię motyla”? Na postawie podobnych ocen stał się jasny ideał B.G. MacCarthy – podziw dla nieokiełzanego ducha i odważnego serca.

Nieco później zaprosiła mnie do swojego domu, w którym mieszkała z ciotką. Zacząłem bywać częściej, gdyż

zaproponowała mi dawanie jej lekcji języka polskiego, bo zapragnęła się go nauczyć.

Nauka wymagała dużego wysiłku obu stron. Obowiązki uczennicy pedagogiczne i administracyjne nie zostawiały wiele czasu, nauczyciel zaś nie miał kwalifikacji i praktyki, a do tego pomoce były skromne. Nie był dostępny nawet podręcznik Józefa Teslara ze słynnymi zdaniami takimi jak "Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika". Ale lekcje się odbywały, a uczennica na improwizowanym materiale poznawała powoli zawiłości języka polskiego. Wdzięczna nie zapomniała potem o moim wysiłku, gdyż wielkodusznie w liście polecającym napisała: "Biorąc pod uwagę ograniczone zdolności jego studentów (oprócz niej lekcje brał również profesor filologii irlandzkiej), dobrze świadczy o Florianie Śmieji, że doprowadził nas do momentu pozwalającego nam z pewnym wysiłkiem czytać po polsku i że zaspakajał nasze zaciekawienie polską literaturą, tak że jesteśmy zainteresowani nauczyć się tego trudnego języka, by dotrzeć do estetycznych wartości, o których mówi tak elokwentnie".

Zagadnęła mnie kiedyś, czy domyślałem się powodu, dla którego postanowiła nauczyć się polskiego. Tłumaczyła, że to był jej gest przyjaźni i respektu wobec Polaków, którzy nagle po zakończeniu się drugiej wojny światowej pojawili się na irlandzkich uniwersytetach. Podjęła naukę tego trudnego języka i kultury

polskiej, o które z takim uporem walczyli przez dwa wieki w imię braterstwa i ludzkiej solidarności. Doceniała naszą postawę i emigracyjną sytuację, a także wysiłki ducha jednego z narodów mniej szczęśliwych, upominających się o godne miejsce na świecie.

B.G. MacCarthy była gorącą patriotką. Za jej życia wybuchło krwawe powstanie w Dublinie, z pobudek patriotycznych, burmistrz Corku umarł śmiercią głodową, ale w końcu większa część wyspy uzyskała samorząd i ogłosiła niezależną republikę.

Jako pedagog nie miała złudzeń, co do zacofania intelektualnego swojego narodu na skutek długoletniej niewoli i wiekowej dominacji i dyskryminacji przez Anglosasów. Swojej ostrej krytyki nie kryła nawet kiedy w roli egzaminatora przyjechał z Oksfordu profesor J.R.R.Tolkien, późniejszy autor "Władcy pierścieni". Gdy skarżył się na mizerny poziom studentów irlandzkich, bez wahania wskazała Anglików jako właściwych sprawców takiego stanu rzeczy.

Kiedy wyjeżdżałem z Cork, bo zaofiarowano mi asystenturę na Uniwersytecie Londyńskim, na drogę wręczyła mi swoją pierwszą skórzaną teczkę, z którą zaczęła karierę nauczycielską. Długo mi służyła.

Rozeszły się nasze drogi, nim mogłem właściwie ocenić walory

tej nieprzeciętnej osoby. Po nieudanym małżeństwie, które zaryzykowała będąc w średnim wieku, nagle enigmatycznie zrezygnowała z kariery akademickiej, której w prowincjonalnym uniwersytecie rodzinnego miasta była niewątpliwie wielką ozdobą. Zmarła w 1993 roku. Ponoć miała oświadczyć, że miała wszystkiego dość.

Myśl, że ja także w jakimś stopniu mogłem przyczynić się do jej niespodziewanej, dramatycznej decyzji, dziś napawa mnie smutkiem.